

ANTOLOGIA Z DRESZCZYKIEM

ZBIÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADĄŃ
POLSKICH AUTORÓW



ANTOLOGIA Z DRESZCZYKIEM

**ZBIÓR NAJLEPSZYCH OPOWIADAŃ
POLSKICH AUTORÓW**

Copyright © Ostre Pióro

Wydanie I

Szczecin 2025

ISBN: 978-83-68498-18-9

e-ISBN: 978-83-68498-19-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji w jakiegokolwiek postaci zabronione bez wcześniejszej pisemnej zgody wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pomocą nośników elektronicznych.

Wydawca zezwala na udostępnianie okładki książki w internecie.

Projekt okładki, stron tytułowych i zadruku brzegów
Katarzyna Serebin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl

Zdjęcie na okładce / Grafiki na stronach tytułowych rozdziałów
Freepik

Redakcja

Monika Całka | Kropka i Spółka

Korekta

Natalia Szoppa

Katarzyna Kurowska | stacjaprojekt.my.canva.site

Projekt typograficzny, skład i łamanie

Katarzyna Serebin-Kolarczyk | www.kaes-seredin.pl



Wydawnictwo

Ostre Pióro

www.ostre-pioro.pl

ANTOLOGIA Z DRESZCZYKIEM

Piotr Żymelka

Urodzony w latach osiemdziesiątych, ukończył informatykę na Politechnice Śląskiej w Gliwicach i pracuje jako programista. Prywatnie mąż i ojciec. Entuzjasta dobrej kawy oraz kultury frankofońskiej. Pisze w czasie wolnym i w tak zwanym „międzyczasie”. Od zawsze rozkochany we wszystkich niemalże gałęziach popkultury. Wielki miłośnik Kina Nowej Przygody, przygodówek *point and click*, złotego wieku piratów, a także zapalony czytelnik literatury prawie wszelakiej i komiksów. Jego teksty ukazywały się na łamach czasopisma „Pixel”. Regularnie publikuje recenzje filmów na portalu film.org.pl.

Zadebiutował w 2021 roku powieścią sensacyjno-przygodową *Cień Templariuszy*. Książka została dobrze przyjęta i stanowiła hołd dla przygód Indiany Jonesa oraz twórczości Clive’a Cusslera. W 2024 roku ukazał się kryminał *Błogosławieni*, którzy łakną sprawiedliwości. Akcja powieści toczy się w Katowicach na dwóch płaszczyznach czasowych. W 2025 roku autor wydał trzecią książkę – powieść awanturniczą *Carska afera*. Jej bohaterowie to dwaj mężczyźni o zupełnie odmiennych charakterach. Trafiają na sprawę, która może wstrząsnąć całą Europą. Z biegiem czasu los rzuca ich do różnych krajów, a wzajemna niechęć zamienia się w szorstką męską przyjaźń.

Facebook: piotr.zymelka.pisarz

Piotr Żymelka

Odległa strona nieba



– Nie, proszę, nie! Mam już dość! Błagam...! Zostaw! – wrzeszczała kobieta.

Otworzyłem oczy i gwałtownie wciągnąłem powietrze. Znowu ten sen.

Chwilę trwało, nim zorientowałem się w sytuacji. Leżałem w miękkim, wygodnym łóżku. Otaczała mnie ciemność. Ale nie taka zwykła, która pojawia się nocą po zgaszeniu żarówki. Nie – to był zły, tłusty, wszechogarniający mrok, wypełzający z kątów i szczelin oraz wciskający się w każdą, najmniejszą nawet szparę. Ciężki i oleisty. Namacalny, wchłaniający światło i odbierający nadzieję. Zachowujący się niemalże jak żywa

istota i wyciągający po mnie swoje czarne jak smoła złowrogie wypustki.

Źródło tej ciemności leżało blisko, to z jego powodu tu przyjechałem. Wyczuwałem takie miejsca z daleka. Wiecie, jeśli żyje się odpowiednio długo, człowiek uczy się ufać instynktowi. W przeciwnym wypadku... no cóż, groby rozsiane po świecie są najlepszym dowodem na to, dokąd prowadzi niewiedza tych, którzy nie słuchali podszeptów intuicji.

Usiadłem i sięgnąłem do włącznika lampy. Pstryknąłem, a pokój zalało żółte, przyjemne światło. Ciemność cofnęła się poza jego zasięg, ale jakby niechętnie, z ociąganiem.

Ubrałem się i podszedłem do drzwi wyjściowych. Do świtu zostały co najmniej dwie godziny. Nie cierpię tych peerelowskich, szarych, paskudnych bloków, krytych azbestowymi płytami. Ale mieszkalem już w znacznie gorszych warunkach i znacznie mniej przyjemnych częściach świata niż Europa Środkowa, więc w zasadzie nie miałem powodów do narzekań. Przekręciłem klucz w zamku i wyszedłem na klatkę schodową.

Panowała na niej cisza. Dopiero gdy machnąłem ręką, czujnik na podczerwień zapalił umieszczoną pod sufitem lampę, rozpraszając nieco mrok. Zerknąłem w górę. To stamtąd wypełzała ciemność. Kryła się teraz w zakamarkach pięter, przyczajona i przerażająca. Zdawała się falować i wabić niczego niepodejrzewające ofiary. Ruszyłem po schodach, echo moich kroków

rozbrzmiewało w pustej przestrzeni, jakby kiepski perkusista nieudolnie wygrywał marsz pogrzebowy.

Wspiałem się na ostatnią kondygnację. Znajdowały się tu drzwi do trzech mieszkań. Jedne z nich rzucały się w oczy bardziej niż pozostałe – farba odchodząca z framugi płatami, zaniedbana wycieraczka i warstwy kurzu na klamce oznaczały, że od jakiegoś czasu nikt ich nie otwierał.

To właśnie stąd promieniował mrok. Wypełzał wolno i rozlewał się na świat. Mieszkało tu pradawne zło.

I ja musiałem się nim zająć. To znaczy, nie musiałem, ale powinienem.

Oczywiście nie od razu. Tylko idiota rzuca się w afere bez przygotowania. A ja nie jestem idiotą. No, przynajmniej nie aż tak dużym.



Pierwszą rzeczą, którą należało zrobić, było zebranie informacji. A nikt nie wiedział więcej o mieszkańcach bloków niż sami mieszkańcy. Szczególnie ci spędzający całe dnie na obserwowaniu sąsiadów, narzekaniu na współczesną młodzież oraz obgadywaniu innych lokatorów. W życiu spotkałem już tysiące takich osób i zazwyczaj unikałem ich jak diabeł wody święconej. Tym razem jednak musiałem przywołać na twarz przyjazny wyraz i stać się na moment miłym gościem. Nie przyszło mi to łatwo. Prawdę mówiąc, było cholernie trudne.

Moja, z braku lepszego określenia, ofiara – pani Bożena – mieszkała na pierwszym piętrze. Wieczorem, gdy słońce już zaszło, ale noc nie objęła jeszcze świata we władanie, zapukałem do jej drzwi. Otworzyła po chwili i obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem. Ledwo się powstrzymałem, żeby nie odpłacić jej podobnym. Zamiast tego uśmiechnąłem się i powiedziałem:

– Dobry wieczór, pani Bożeno. Nazywam się Maks Bilewski – podałem imię i nazwisko, którego wtedy używałem. – Mieszkam tu od niedawna i kompletnie nie orientuję się w sprawach administracyjnych. Czy pani może wie, gdzie powinienem się udać w sprawie opłat za wywóz śmieci?

Bujne loki w papilotach, otaczające nalaną twarz pani Bożeny, zatrzęsły się, gdy wyściubiła głowę przez szparę w drzwiach.

– Panie! W tej spółdzielni to złodzieje pracują! Ino pieniądze biorą, a sami nic nie robią!

Westchnąłem. To będzie trudniejsze, niż myślałem.

– Bardzo proszę, kompletnie nie wiem, jak to załatwić. Przyjechałem zza granicy...

Najwyraźniej argument ten przemówił do resztki człowieczeństwa, kryjącej się w tym ludzkim odpowiedniku drzazgi w palcu, bo baba uchyliła szerzej drzwi.

– Herbatę zaparzę – wymamrotała i ruszyła do kuchni.

Wciąż stałem na klatce schodowej. Musiałem zaczekać na zaproszenie.

– Mogę wejść?

– Proszę! – wrzasnęła.

Przekroczyłem próg. W przedpokoju wisiało duże lustro, więc szybko przeszedłem dalej, żeby gospodyni nie zauważyła w nim braku mojego odbicia.

W salonie unosił się zapach gotowanej kapusty, zmieszany ze smrodem kiepskiej jakości papierosów. Centralne miejsce zajmował telewizor. A w wielkiej, częściowo przeszklonej meblościance, pamiętającej jeszcze czasy słusznie minione, piętrzyły się talerze, kubki i jakieś inne bibeloty. Na środku stał okrągły stolik kawowy i dwa fotele. W jednym zauważyłem kilka wypalonych papierosem dziur. Nad wejściem wisiał niewielki krzyżyk. Nie robił na mnie wrażenia, znałem Jezusa osobiście – fajny był z niego gość, ale zdziwiłby się, gdyby zobaczył, co niektórzy wyprawiają w jego imieniu i jak rozrosło się założone przez niego kółko rybackie.

– Pan se kładnie – powiedziała pani Bożena, wkraczając do pokoju z fałszywym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

Niosła dwa parujące kubki mocnej jak piekło herbaty. Zająłem miejsce w jednym z foteli.

– Dziękuję, że poświęca mi pani czas. Naprawdę potrzebuję pomocy z tymi śmieciami...

Kobieta usiadła naprzeciwko mnie, siorbiąc, pociągnęła łyk napoju i zapaliła paskudnego papierosa.

– A nie ma problemu! Musisz pan iść do spółdzielni i znaleźć pokój z numerem sto dwadzieścia jeden. Tam

pracuje taka wredna jędba z tlenioną fryzurą, która się tym zajmuje – powiedziała, nadając głosowi jadowity ton.

Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymałem się od znaczącego spojrzenia na jej papiloty. Nie minęło nawet pięć minut, a już miałem dość tej kobiety. Na szczęście babsko sprawiało wrażenie wścibskiego i gadatliwego. Dokładnie takiego, jakiego potrzebowałem. Nadszedł czas, by przejść do sedna.

– A wie pani, że dopiero jak już kupiłem mieszkanie, dowiedziałem się o jeszcze jednym lokalu na sprzedaż, ale podejrzanie tanim... Chyba na ostatnim piętrze... – zarzuciłem haczyk.

Kobieta wyprostowała się tak gwałtownie, że papiloty na moment znalazły się w stanie nieważkości. Nim odpowiedziała, mocno zaciągnęła się papierosem.

– Dobrze, żeś pan tego nie kupił – zaczęła.

Pochyliłem się do przodu.

– Dlaczego?

– Bo to przekłete miejsce – wyjaśniła szeptem, wypuszczając mi dym prosto w twarz.

Ludzie zawsze, jeśli czegoś nie rozumieją, przypisują to działaniu sił nadprzyrodzonych. I czasem nawet mają rację.

– Przekłete? – zagadnąłem, również szeptem, biorąc łyk herbaty.

Rozejrzała się i szepnęła konfidencjonalnie, jakby chciała zdradzić, która sąsiadka uwodzi listonosza.

– Kilka lat temu mieszkało tam takie młode małżeństwo. On przyzyczny inteligenciak, ale ona, panie, to

taka paniusia była: sukieneczki, szpileczki, tipsy, tatu-
aż. Takie, wiesz pan, kurwiszcze.

Ledwo powstrzymałem się od komentarza, niech
gada.

– Ten inteligenciak kochał ją do szaleństwa. Latał za
nią jak pies z wywalonym jęzorem i spełniał każdą jej
zachciankę.

– A ona?

Baba przez chwilę się zastanawiała.

– Też go kochała... – powiedziała niepasującym do
niej głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwała nutka
sentymalizmu. – I chyba byli szczęśliwi.

Otworzyłem usta, chcąc ostatecznie ustalić, jaki
miała stosunek do tej kobiety, ale rozwiąła moje wą-
pliwości, mówiąc:

– Choć to kurwiszcze było. – Zamilkła na kilka se-
kund, mocno zaciągając się papierosem, aż końcówka
rozjarzyła się pomarańczowym blaskiem. – Ale później
to się stało...

Nadchodziła kulminacja.

– Wydarzyła się tragedia – ciągnęła. – Dziewczyna
wpadła pod samochód. Zginęła na miejscu. A on rozpa-
czał przez kilka miesięcy. Straszny wypadek, wszyscy
byliśmy wstrząśnięci.

Zdusiła peta w popielniczce i od razu zapaliła kolej-
nego. Chyba mówiła szczerze.

– Potem zaczęły dziać się dziwne rzeczy – podjęła
opowieść. – Ludzie mieli problemy ze snem, zwierzę-
ta bały się wychodzić z domów, chowały się po kątach.

Przed blokiem znajdowano martwe ptaki. Niektórzy słyszeli głosy. A Maciejakowie z ostatniego piętra, żeby przejść obok przeklętych drzwi, muszą przenosić psa na rękach, bo skamle i piszczy. Ale to nie wszystko...

Zrobiła teatralną pauzę, po czym dodała:

– Pewnego dnia, kilka miesięcy temu, ten inteligentniak zniknął.

Zmarszczyłem czoło.

– Jak to zniknął?

– No zniknął. Wieczorem wszedł do swojego mieszkania i zamknął się w środku. Potem inni słyszeli stamtąd jakieś dziwne hałasy, krzyki i zawodzenie. Nikt więcej już chłopca nie widział.

– Może wyjechał? – zasugerowałem.

Spojrzała na mnie tak, jakbym jej zaproponował wspólną lewatywę.

– Po dwóch tygodniach weszła tam policja. Drzwi były zamknięte od środka, okna również. Znaleźli tylko osmalony fragment ściany. I nic więcej.

– Czy zanim zniknął, ten mężczyzna zachowywał się dziwnie?

Pociągnęła nosem i zastanowiła się przez chwilę.

– Owszem – pokiwała głową. – Książki czytał.

Pokręciłem głową. W tym kraju, jak ktoś robi coś poza oglądaniem telewizji i piciem piwa, automatycznie dostaje etykietkę z napisem „wariat”.

– I to ma być dziwne? – popchnąłem konwersację dalej.

– On je dziesiątkami znosił! Za każdym razem, jak go widziałam, tachał jakieś książki!

– W porządku. A o czym były?

Kolejne wymowne spojrzenie.

– Panie, a czy ja wyglądam na literata?

Nie, co najwyżej często zaglądasz do literatki... – przemknęło mi przez myśl.

– A dziwne rzeczy? Ustały po jego zniknięciu? – Taktycznie zmieniłem temat.

– Gdzie tam! Dzieją się jeszcze częściej! Urządzenia ciągle się psują, już cztery razy wymieniałam pralkę, psia jej mać! Na klatce zawsze jest chłodno. A jak zgasną światła... to lepiej nie wychodzić na korytarz. Mieliśmy też plagę szczurów, choć ostatnio gdzieś się pochowały...

Akurat ta zagadka miała inne rozwiązanie, ale nie zamierzałem się nim z nią dzielić. Zresztą i tak by nie uwierzyła.

Kobieta milczała przez chwilę, po czym wyszeptała:

– Panie, tam mieszka zło.

Wydąłem usta. Mniej więcej tego się spodziewałem.

– Zaraz zaczyna się mój serial – rzekła, zmieniając wątek. – To jedyna radość, jaka mi została, odkąd Józiek, znaczy się mój świętej pamięci mąż, umarł...

Zapatrzyła się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Nie miałem najmniejszej ochoty na jej wspominki, więc postanowiłem uciąć tę rozmowę, zanim się zaczęły.

– W takim razie pójdę już.

Wstałem i ruszyłem ku drzwiom. Odprowadziła mnie, milcząc. Na szczęście nie spojrzała w lustro.

Na klatce poczułem chłód. Ciemność czaiła się gdzieś na granicy rzucanego przez żarówkę światła. Złowroga i nienawistna.



Rozmowa z kilkoma innymi sąsiadami potwierdziła rewelacje pani Bożeny. Dodatkowo jeden z nich podzielił się ze mną informacją, że Mateusz, bo tak nieszczęśnik miał na imię, niezwykle intensywnie korzystał w ostatnim czasie ze zbiorów bibliotek i antykwariatów. Postanowiłem sprawdzić, w jakich tytułach gustował właściciel feralnego mieszkania.

Do najbliższej biblioteki poszedłem następnego dnia po południu. Musiałem się mocno zawinąć w płaszcz, by nie wystawiać skóry na słońce. Wprawdzie nie groził mi żaden trwały uszczerbek na zdrowiu, w końcu pływałem kiedyś na Karaibach u boku Czarnobrodego, ale poparzenia drugiego stopnia to też nie w kij dmuchał. Gdy tylko przekroczyłem próg szacownej instytucji, od razu zauważyłem młodą dziewczynę siedzącą za biurkiem, przed komputerem i stukającą w klawisze. Wyostrażając wzrok, przeczytałem treść identyfikatora widniejącego na jej piersi. Miała na imię Kasia i pracowała tutaj jako archiwistka. Doskonale.

Zbliżyłem się do niej, przywołując minę, której nauczył mnie swego czasu sam Giacomo Casanova.

– Dzień dobry, w czym mogę pomóc? – spytała, zważając mnie.

– Dzień dobry – odpowiedziałem, patrząc jej głęboko w oczy.

Mogłem narzucać swoją wolę słabym umysłem. Na szczęście dziewczyna była jeszcze młoda i dość naiwna, więc zawiadnięcie nią nie nastręczyło mi większych trudności. Od razu przeszedłem do rzeczy:

– Kasiu, potrzebuję, żebyś sprawdziła pewne informacje w systemie.

Na dźwięk mojego głosu zamrugła. Zachowywała się jak w transie, ale uśmiechnęła się jeszcze szerzej i odpowiedziała:

– Oczywiście, czego pan potrzebuje?

Podałem imię i nazwisko interesującego mnie mężczyzny i poprosiłem, by wyświetliła listę tytułów, które wypożyczał.

Jej smukłe palce zatańczyły nad klawiaturą. Po chwili na ekranie pojawił się wynik zapytania do bazy danych. Przebiegłem go wzrokiem. Było tak, jak się spodziewałem. A nawet gorzej.

– Dziękuję.

Pożegnałem się i ruszyłem do wyjścia. Przed opuszczeniem gmachu biblioteki upewniłem się, że dziewczyna nic nie zapamięta z tego spotkania. Nikt nie dałby wiary jej słowom, a mogłaby mieć niepotrzebne problemy.

Następnie ruszyłem z powrotem do domu. Miałem sporo do przemyślenia.



Uniosłem szamoczącego się szczura do ust. Obnażyłem kły, które wydłużyły się, gotowe zadać zwierzęciu śmiertelny cios. Już prawie czułem na języku jego słodką krew, gdy zabrzmiał dzwonek do drzwi. Chciałem zignorować dźwięk, ale po chwili rozległo się łomotanie. Westchnąłem, wrzuciłem gryzonia do klatki, zamknąłem ją i ruszyłem do wejścia.

Zerknąłem przez wizjer. Na korytarzu stał barczysty, krótko ostrzyżony chłop o nieprzyjemnym wyrazie twarzy i bliznami po ospie na policzkach. Otworzyłem.

– Sierżant Grzegorz Majakowski – przedstawił się, machając legitymacją. Jego ochrypły głos brzmiał, jakby ktoś szurał metalową rurą po asfalcie. – Mam do pana kilka pytań.

Zamrugąłem.

– Pytań?

– Owszem. Podobno interesuje się pan zaginięciem Mateusza Markowskiego...? – zawiesił głos, oczekując na potwierdzenie.

– No pewnie, przecież tu mieszkam i chciałbym wiedzieć, czy to spokojna okolica – wyjaśniłem.

Złożył ręce na piersi.

– A to nie popytał pan przed zakupem mieszkania? Cholera, nie przemyślałem tego.

– Spieszyło mi się... – odparłem niezbyt przekonująco.

Próbował zajrzeć do mieszkania, ale stanąłem tak, by zasłonić wnętrze.

– Czym się pan zajmuje, panie...?

– Maks Bilewski.

– ...panie Bilewski?

– Jestem tłumaczem. – To akurat było zgodne z prawdą. Gdy ktoś żyje ponad dwa tysiące lat, z konieczności uczy się posługiwać wieloma językami. Również takimi, które zaginęły w pomroce dziejów.

Pokiwał głową. Nie wierzył mi.

– Tłumaczem... A co pan tłumaczy?

– Głównie... – spojrzałem na niego hardo – ...martwe języki.

Wciągnął głęboko powietrze przez nos. Następnie sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej wizytówkę i podał mi ją.

– Gdyby dowiedział się pan czegoś ciekawego, proszę się ze mną skontaktować.

Wziąłem karteczkę, nie odrywając od niego wzroku.

– Nie omieszkam – odparłem chłodno.

Pokiwał głową, a na jego usta wypłynął delikatny, ale przez to wcale nie mniej wredny uśmiešek.

– Będę w pobliżu, więc zapewne jeszcze się spotkamy.

– Czekam z utęsknieniem.

Zamknąłem drzwi. Wizytówkę od razu wyrzuciłem do kosza. Ciekawe, który sąsiad doniósł policji o moim

zainteresowaniu tym feralnym mieszkaniem? A zresztą, co za różnica? Przeczuwałem, że z tym gliniarzem będą kłopoty. Tacy jak on nie odpuszczają, szczególnie jeśli się na kogoś uprą. A nawet Stevie Wonder zauważyłby, że nie przypadłem mu do gustu. Tym bardziej musiałem szybko załatwić sprawy i wynieść się stąd byle dalej.

Pewnie w tym momencie zastanawiacie się, po co w ogóle zamierzałem igrać z mrocznymi mocami, zamiast czym prędzej spieprzać w jakieś miłe miejsce. Nigdy nie pretendowałem do roli bohatera, ale widzicie, jeśli gdzieś pojawia się ciemność, równocześnie w świecie zaczynają narastać napięcia. I prędzej czy później musi nastąpić ich rozładowanie, co dzieje się zazwyczaj w dramatyczny sposób – mrok zalewa świat i wybucha kolejna wojna, zdarza się jakaś tragedia albo katastrofa. Kojarzycie wybuch Hindenburga? Premierę *Titanica* Jamesa Camerona? Epidemię czarnej śmierci w średniowieczu? Jedenasty września 2001? No właśnie. Więc ktoś musiał zająć się tajemniczym mieszkaniem i tym, co tam się stało. Inaczej moglibyśmy mieć naprawdę przejebane. A ja lubię święty spokój i nie lubię mieć przejebane. Konflikty zbrojne i inne takie to nie dla mnie. Zresztą przez wieki naoglądałem się wystarczająco dużo niegodziwości i okrucieństwa. I nauczyłem się jednego: jeśli nie zdusi się zła w zarodku, to ono potem cię odnajdzie i ugryzie w dupę tak mocno, że będziesz przeklinał dzień swoich narodzin.

Czekało mnie trudne zadanie. Ale najpierw posiłek. Z tą myślą skierowałem się do klatki ze szczurami.

Co? Że obrzydliwe? Cóż, jeść trzeba. A ludzi nie tykam. Chyba że wyjątkowych skurwieli, ale ich krew szybko fermentuje, więc to żadna przyjemność. Poza tym trzeba się mocno natrudzić z upolowaniem takiej ofiary, na co nie miałem teraz ani czasu, ani ochoty.



Jedną z zalet bardzo długiego życia było to, że posiadałem wiele umiejętności, których normalnie bym się nie nauczył. Na przykład otwierania różnego rodzaju zamków albo włożenia w trudno dostępne miejsca. Wprawdzie feralnego mieszkania nie chroniły jakieś wymyślne zabezpieczenia, ale też byle gnojek nie potrafiłby z marszu sforsować drzwi. Mnie zajęło to kilka minut. Oczywiście mogłem po prostu wedrzeć się do środka siłą, ale zależało mi na dyskrecji. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Gdy zapadki w zamku szczęknęły, pchnąłem drzwi. Otworzyły się wolno, skrzypiąc przeraźliwie, jakby ktoś otwierał wieko starej trumny. Skrzywiłem się, na szczęście o drugiej nad ranem sąsiedzi spali.

Wślizgnąłem się do mieszkania. Panujący w środku mrok natychmiast mnie otulił. Niemalże czułem jego muśnięcia na skórze. W powietrzu wisiał również strach. Paniczny, odbierający rozum strach. Rozejrzałem się po przedpokoju. Nieźle widziałem w ciemnościach,

więc dostrzegałem kontury mebli oraz prostokąty drzwi prowadzących do pokoi. Zwykle elementy wyposażenia wnętrz, jak szafka na buty czy wieszak, sprawiały wrażenie żywych i złowrogich istot, czających się na śmiałka, który zakłócił ich spokój. Wyobrażenia podsuwała mi niesamowite wizje przedmiotów, zbudowanych ręką niepochozącą z tego świata. I choć wiedziałem, że to tylko fantazje, na skórze pojawiła mi się gęsia skórka.

Wiedziony instynktem ruszyłem wzdłuż kilkumetrowego przedpokoju. Po chwili znalazłem się w salonie. To właśnie stąd promieniował mrok. Pomieszczenie wyglądało prawie normalnie. Na środku stały stół i sześć krzeseł, telewizor umieszczono naprzeciwko wygodnego na oko zestawu wypoczynkowego, składającego się z kanapy i dwóch foteli, wyraźnie przesuniętych w stronę ekranu. Na jednej ze ścian wisiał obraz przedstawiający jakiś leśny krajobraz. A druga ściana... była pusta. Nie licząc widniejącej na środku dużej plamy, emanującej czernią tak głęboką, że zdawała się pochłaniać całe światło w promieniu kilku metrów.

Podszedłem do niej. Zapach już zwietrzał, ale w powietrzu wciąż unosiła się delikatna woń spalenizny. Dotknąłem plamy. Nie odznaczała się od ściany, była zaskakująco gładka.

Wtem rozległ się krzyk. Dochodzący z bardzo daleka, przytłumiony i ledwo słyszalny. Gdyby nie mój wyczulony słuch, zlałby się z tłem. Dobiegał z wnętrza plamy. Nie z mieszkania obok ani na dole, tylko z głębi tej obezwładniającej czerni. Aż podskoczyłem.

Przeniosłem wzrok na ścianę wokół osmalonego miejsca. Przyjrzałem się jej dokładnie. I wtedy to zobaczyłem. Ktoś obrysował plamę, wpisując ją w pentagram. Krwią.

Fakt, że policja nie znalazła tu tego znaku, a żaden z sąsiadów o tym nie wspomniał, mógł oznaczać tylko jedno – kończył mi się czas.



Wiedziałem już mniej więcej, co się stało w tym mieszkaniu. Teraz musiałem wymyślić sposób, jak temu zaradzić. I to szybko, bo sytuacja pogarszała się z każdą godziną. Potrzebowałem jednak kilku rzeczy, co oznaczało, że czas wybrać się na zakupy.

Ponieważ słońce dopiero chyliło się ku zachodowi, a ja nie miałem zamiaru wystawiać się na jego działanie i ryzykować oparzenia, opatulilem się jak w późną jesień, choć na zewnątrz panowało lato. W długim płaszczu z postawionym kołnierzem, kapeluszu z szerokim rondem i przyciemnianych okularach, rzucałem się w oczy jak ksiądz w burdelu. Nie podobało mi się to, ale czasami trzeba znosić niedogodności. Życie.

Wyszedłem z klatki i ruszyłem chodnikiem w stronę samochodu. Od razu zauważyłem sierżanta Majakowskiego. Stał pod pomazaną sprayem ścianą i wpatrywał się we mnie, paląc papierosa. Pomachałem mu. Jego

obecność stanowiła sporą niedogodność, ale wziąłem ją pod uwagę podczas planowania wyprawy na zakupy.

Wsiadłem do samochodu i włączyłem się do ruchu. Majakowski nie zwlekał i w nieoznakowanym radiowozie ruszył za mną. Nawet nie próbował udawać, że nie siadł mi na ogonie. Na szczęście już w czasach krucjat nauczyłem się radzić sobie z takimi sztuczkami.

Nawiasem mówiąc, był to bardzo barwny okres (głównie we wszystkie odcienie czerwieni), może kiedyś wam o nim opowiem.

Po dwudziestu minutach niespiesznej jazdy, z krótkim przystankiem w jednym pustym zaułku, dotarłem pod hotel znanej na świecie sieci. Zaparkowałem, wysiadłem i uśmiechnąłem się do Majakowskiego, który zatrzymał się przed szlabanem prowadzącym na parking. Dostrzegłem jego nienawistne spojrzenie. Następnie przez obrotowe drzwi wszedłem do środka.

Lobby najwyraźniej urządziła osoba niepozbawiona dobrego smaku i gustu, o co wbrew pozorom niełatwo, nawet w najbardziej luksusowych przybytkach. W jednym z kątów obszernego pomieszczenia trzyosobowy zespół umiał gościom czas, oferując jazzowy repertuar. Od razu podszedłem do recepcji, gdzie pracował wysoki, zadbany mężczyzna imieniem Borys. Zameldowałem się, podając dane, którymi się aktualnie posługiwałem, i pokazując dowód osobisty na niewyrobiony. Po chwili dzierżyłem już kartę stanowiącą elektroniczny klucz do pokoju.

Stałem w windzie i nim zasunęły się jej drzwi, ponownie uśmiechnąłem się do Majakowskiego, właśnie idącego w kierunku recepcji. Niech myśli, że wynająłem sobie panienkę, w czym zresztą utwierdzi go Borys, w którego kieszeni znajdował się teraz banknot o dużym nominale. Policjant i tak miał mnie za podejrzanego typu, więc nie będę wyprowadzał go z błędu.

W pokoju umieściłem na klamce zawieszkę z napisem „Nie przeszkadzać” i od razu podszedłem do okna. Nie zamierzałem spędzać tu wiele czasu. Widok z dziesiątego piętra na oświetlone ulice i domy w pewien sposób uspokajał. Gdyby tylko gdzieś tam nie czaiła się ciemność, która czekała, by rozlać się po świetle i wyciągnąć z ludzi wszystko, co najgorsze, a zapewne wiecie, że jest sporo do wyciągania...

Otworzyłem okno i odetchnąłem rześkim powietrzem. Chętnie popodziwiałbym jeszcze ten nieco industrialny krajobraz, ale robota czekała. Zamknąłem oczy i skupiłem się, regulując oddech.

Świat zawirował, gdy gwałtownie się skurczyłem, moje ręce zamieniły się w czarne, błoniaste skrzydła, a otoczenie zaczęło składać się głównie z dźwięków. Już po kilku sekundach szybowałem na zewnątrz, wściekle machając skrzydłami. Nie cierpię zmieniać się w nietoperza, bo następnego dnia cholernie boli mnie łeb, ale nie miałem wyjścia. Tylko w ten sposób mogłem pozbyć się Majakowskiego.

Dość dobrze znałem topografię miasta. Stary nawyk. W nowym miejscu zawsze staram się szybko zrobić

rozpoznanie. I nie zliczę, ile razy uratowało mi to tyłek. Skierowałem się więc we właściwą stronę i szybko znalazłem zaułek, w którym wcześniej na chwilę się zatrzymałem. Tam na powrót przybrałem swoją zwykłą postać. I zacząłem grzebać w leżących na ziemi workach na śmieci.

W nietoperza zmienia się bowiem tylko ciało, a nie ubranie, więc stałem teraz na ulicy goły i niezbyt wesoły. Na szczęście nikt nie poślakomiał się na brudny worek z używanymi ciuchami, który podrzuciłem do zaułka, jadąc do hotelu. Dwie minuty później przestał grozić mi mandat za nieobyczajne zachowanie.

Teraz czekała mnie wycieczka do oddalonego o siedemdziesiąt kilometrów miasta.



Są na świecie rzeczy, które się filozofom nie śniły – powiedział kiedyś William Szekspir. Znałem go osobiście, niejedną szklanicę wina razem wypiliśmy. Był strasznie nieśmiały, ale jak już wychylił kilka kielichów, to miał takie gadane, że potrafił wyrwać każdą kobietę. I każdego faceta też.

Ale nawet on nie zdawał sobie sprawy, że na naszym globie żyją wszelkiej maści istoty, znane z baśni, legend, mitów, podań i tym podobnych (w końcu skądś się wzięły te wszystkie opowieści...). Kiedyś też myślałem,

że ich nie ma, ale pewna długozęba krwio pijczyni z Lutecji udowodniła mi, jak bardzo się myłę. To jednak temat na inną opowieść.

W każdym razie wszystkie te stworzenia potrzebują czasem przedmiotów niezbędnych do rozwiązania ich nietypowych problemów. I mogą je znaleźć w sklepach oferujących nie tylko właściwy asortyment, ale także usługi specjalnie przeszkolonego personelu. Właśnie do jednego z nich się teraz udawałem.

Szyld „Szwarc, mydło i powidło” sugerował, że w środku sprzedawane są tandetne pamiątki dla turystów, którzy chcą sobie z wycieczki przywieźć breloczek, długopis albo magnes na lodówkę. Tylko nieliczni wiedzieli, że przepastne magazyny sklepu kryją prawdziwe morze przedmiotów przeznaczonych dla istot oficjalnie nieistniejących. Dało się tam znaleźć wszystko, od Pierścieni Władzy i kamienia filozoficznego, poprzez pistolety na wilkołaki i karmę dla zombie, aż po takie drobiazgi jak lusterka dla wampirów i peeling dla mumii.

Za ladą stał Chińczyk. Na mój widok rozciągnął twarz w uśmiechu, co nadało mu jeszcze łagodniejszy wygląd niż zazwyczaj. Jego siwe włosy lekko zafalowały, gdy wstał.

– Cześć, Chen. Dobrze cię widzieć – przywitałem się wesoło.

– Ciebie też, Maks – odparł Chińczyk doskonałą polszczyzną.

Żwawym krokiem wyszedł zza lady i uściskał mnie serdecznie. Przybył do Polski ponad dwadzieścia lat

wcześniej i szybko się zasymilował. Jako że dość często zdarzało mi się odwiedzać „Szwarc, mydło i powidło”, znaleźmy się całkiem nieźle.

– Czego ci dzisiaj potrzeba? Ubranie, które dopasuje się do ciebie, gdy zmieniasz się w nietoperza? – spytał, krytycznie przyglądając się mojemu strojowi.

Było to niezwykle kuszące, ale nie miałem czasu na rewię mody. Pokrótce wyjaśniłem, o co mi chodzi.

Chen zmarszczył czoło i skrzywił usta, jakby zjadł coś nieświeżego.

– Niedobrze. Może warto wezwać Mroczną Gildię?

Zdecydowanie pokręciłem głową. Ta organizacja, o nazwie rodem z taniego fantasy, odpowiadała za trzymanie w ryzach wszelkiego ponadnaturalnego tałatajstwa, próbującego namieszać na świecie. Problem w tym, że skuteczność Gildii dorównywała wyłącznie jej bezwzględności, więc członków stowarzyszenia wzywano jedynie, gdy sprawy przybierały naprawdę paskudny obrót. Gorzej, jeśli postanawiali się sami wmieszać, wtedy pojawiały się płacz, zgrzytanie zębów i smród palonych ciał. Nie bez powodu mówiono, że wszystko u nich było mroczne, włącznie z poczuciem humoru.

– Myślę, że dam radę samemu – odparłem z przekonaniem.

Chen nie zastanawiał się długo i szybko skompletował moje zamówienie. Już godzinę później jechałem pociągiem powrotnym, pod pachą dzierżąc reklamówkę z tandetnym logo „Szwarc, mydło i powidło”.

W hotelu przebrałem się w moje oryginalne ciuchy i wyszedłem głównym wejściem, upewniając się, że Majakowski to zauważył. Nad ranem wróciłem do mojego lokum. Zostało mi kilkanaście godzin do, jak miałem nadzieję, ostatecznego zakończenia tej sprawy.



Wieczorem ponownie włamałem się do feralnego mieszkania. Pentagram na ścianie był znacznie wyraźniejszy, a krew, którą go namalowano, wyglądała na świeżą. Osmalona plama przybrała za to, co wydawało się niemożliwe, jeszcze mroczniejszy odcień czerni.

Plecak z zakupionymi w „Szwarc, mydło i powidło” przedmiotami położyłem na ziemi. Zapaliłem wszystkie światła. Chwilę się paliły, ale w pewnym momencie zamigotały i zgasły. Ciemność zaczynała wygrywać.

Sięgnąłem do plecaka i wydobyłem z niego grubą i ciężką świeczkę. Postawiłem ją na podłodze i przytknąłem do knotu ogień z zapalniczki. Jak się zapewne domyślacie, nie była to jakaś zwykła świeca. Została specjalnie spreparowana przez personel sklepu. Płomyk niemalże radośnie przeskoczył na otoczoną woskiem nić. Nagle zrobiło się jaśniej. Mrok został chwilowo zepchnięty do defensywy. Ale wiedziałem, że nie na długo.

Wyciągnąłem z plecaka grubą księgę oprawioną w skórę jednorożca (a przynajmniej tak głosiły plotki). *Teoria i praktyka demonologii* Asha Williamsa to dość ciężka pozycja, tak pod względem gabarytów, jak i treści, lecz bardzo przydatna w zaistniałej sytuacji.

Zapewne domyśliliście się już, co tu zaszło, aczkolwiek dla porządku wyjaśnię: Mateusz bardzo kochał swoją dziewczynę. Tak bardzo, że nie mógł się pogodzić z jej odejściem. I w jakiś sposób dowiedział się, że istnieją sposoby sprowadzenia zmarłych z powrotem. Problem w tym, że otworzyć przejście do świata nieżywych jest cholernie trudno. Ściągnąć stamtąd kogoś – jeszcze trudniej. Co więcej, trzeba wiedzieć, co się robi – trochę jak w przypadku chirurga, który naciąga klatkę piersiową pacjenta. Nie może poruszać się po omacku, bo raczej zaszkodzi, niż pomoże.

Nieszczęsny oblubieniec umyślił sobie, by sprowadzić swoją ukochaną z zaświatów. Kiepski pomysł. Jak coś umarło, powinno zostać martwe. Znanе są wprawdzie pojedyncze przypadki powrotu z Krainy Wiecznych Łowów, ale ożywieńcy kompletnie wariowali albo zakładali nowe religie, co chyba jest jeszcze gorsze.

Mateusz otworzył drzwi do mrocznej krainy, przełaził na drugą stronę i najwyraźniej tam utknął, a różne mroczne byty postanowiły skorzystać z okazji i zrobić sobie imprezę w naszym świecie. Słowem – było naprawdę kiepsko.

Upewniwszy się, że znajduję się w kręgu światła rzuconym przez płomień świecy, stanąłem przed płamą,

otworzyłem księgę i zacząłem recytować spisane na jej stronach wersy. Przez chwilę nic się nie działo, ale wtem na powierzchni osmalonego miejsca pojawiły się niewielkie, pulsujące punkty. Rozszerzały się w miarę, jak czytałem kolejne słowa, by w końcu połączyć się w jeden okrągły otwór o średnicy mniej więcej półtora metra. Przez niego dało się dostrzec rozległe pole, na którym stały dziwne budowle, jakich nie wzniósłby żaden człowiek. Przeczyły prawom grawitacji, a ich kształty zmieniały się, falowały i przechodziły w inne. Groza opadła na mnie jak ziemia po wybuchu miny.

Nie przestawałem czytać. Koszmarny świat zza płamy przesunął się, jakby jakiś odważny kamerzysta podróżował po tej upiornej krainie. W tle przechadzały się chude postacie, ubrane w postrzępione, czarne szaty. Wydawały z siebie nieokreślone jęki. Nadstawiłem ucha, poszukując w tej kakofonii konkretnego dźwięku.

W pewnym momencie zdawało mi się, że go usłyszałem. Wciąż recytując wersy, skierowałem się w stronę, skąd dobiegał dźwięk. Nie zwracałem uwagi na otoczenie, koncentrując się tylko na nim. Stał się głośniejszy i wyraźniejszy. Zbliżałem się i wkrótce, nie potrafię powiedzieć po jakim czasie, zobaczyłem ją.

A raczej to, co z niej zostało. Lamentująca postać tylko w ogólnych zarysach przypominała piękną niegdyś dziewczynę. Teraz jej ciało stanowiło jedną wielką ranę. Ale najgorsze były oczy. Puste, wyrażające całkowite zwątpienie i nieskończoną udrękę.

Dopiero wtedy zauważyłem, że za dłoń mocno trzyma ją mężczyzna. On wyglądał w miarę normalnie, jeśli nie liczyć postrzępionego ubrania, brudu oraz wielu zadrapań. Rozpacz biła z jego ruchów.

Przestałem recytować i zwróciłem się do niego:

– Mateuszu, musisz ją puścić.

Drgnął na dźwięk głosu i obrócił głowę w moją stronę. Ten widok go nie zdziwił, co stanowiło najlepszą wizytówkę tego, w jakim stanie psychicznym się znajdował.

– Nie... nie mogę... Muszę ją sprowadzić z powrotem!

– Ona już nie należy do naszego świata – naciskałem. – Odeszła... – Rozejrzałem się po tej mefistofelicznej krainie i dodałem: – ...na odległą stronę nieba.

Zamrugął.

– Ale... ja ją kocham! Nie mogę bez niej żyć!

– Możesz. Ona natomiast nie może do nas wrócić.

Nie jest już tą samą osobą. Musi odejść tam, gdzie jej miejsce. Zatrzymując ją w tej krainie, sprawiasz, że cierpi.

Zawahał się, ale nie puścił.

– Nieważne! Kocham ją i zrobię dla niej wszystko!

Wtem dostrzegłem, że jedna z czarnych postaci nas zauważyła. Zaczęła sunąć w naszą stronę.

Podjąłem decyzję w mgnieniu oka. Odrzuciłem księgę, zrobiłem dwa susy w kierunku plamy. Wskoczyłem w nią i znalazłem się koło Mateusza.

Czarna zjawą była coraz bliżej. Jej twarz wykrzywiała pierwotna nienawiść.

Złapałem Mateusza za rękę, którą trzymał swoją dziewczynę. Nacisnąłem w odpowiednim miejscu i jego palce się rozwarły.

– Nie! – wrzasnął.

Mroczna postać wciąż szybko się zbliżała.

Popchnąłem Mateusza przed sobą w kierunku płamy, która od tej strony pokazywała wnętrze mieszkania. Wy-pchnąłem go przez nią. Sam skoczyłem jego śladem.

Zjawa wyciągnęła przed siebie coś na kształt dłoni zakończonych szponami. Zdołała mnie musnąć w plecy. Poczułem lodowate, arktyczne zimno i...

...znalazłem się w mieszkaniu. Niestety Mateusz wpadł na świeczkę, przygniótł ją i zgasił.

Pomieszczenie zalała ciemność. Zjawa wystawiła przez płamę szpony i głowę, wyjąc potępięnczo.

Rzuciłem się do plecaka. Wydobyłem z niego okrągły przedmiot. Święty Granat Ręczny z Antiochii. Tak, niektóre filmy mają więcej realistycznych elementów, niż myślicie. Uśmiechnąłem się wrednie, wyjąłem zawleczkę, policzyłem do trzech i rzuciłem prosto w płamę. Trafiona w... twarz? pysk?... zjawa ryknęła tak, że włos zjeżył mi się na głowie.

Ładunek eksplodował niebieskim, oślepiającym światłem, które zalało pomieszczenie. Padłem na podłogę. Leżałem, ciężko dysząc i przez chwilę nic nie widziałem. Gdy odzyskałem wzrok, okazało się, że w mieszkaniu znów zapaliły się żarówki, a plama na ścianie była już tylko osmalonym miejscem. Krwawy pentagram zniknął. Podobnie jak księga.

– Muszę tam wrócić! – krzyknął Mateusz.

Złapałem go za rękę. Zaczął się wyrwać, więc unieruchomiłem nieszczęśnika w stalowym chwycie.

– Musisz się uspokoić – powiedziałem łagodnie.

Nagle w pomieszczeniu rozległ się nowy głos.

– Puść go!

W drzwiach stanął Majakowski. Mierzył do mnie z broni.

– Ale...

– Puść go, gnoju, bo strzelam!

Pokręciłem głową.

– Nie mo...

Pociągnął za spust. Dwa razy. Dostałem w tors, odrzuciło mnie na stół. Połamałem mebel i znieruchomiałem na podłodze, martwy.



Nie żebym wcześniej był żywy. Wampir przyjmie na klątę nawet pocisk z granatnika. Ale Majakowski o tym nie wiedział, więc robił wszystko zgodnie z procedurami. Wezwał lekarza, który stwierdził zgon (to nie pierwsza – serce mi nie bije, a skórę mam zimną jak wnętrze krypty, więc kilku konowałów już się pomyliło) i karetka zabrała mnie do prosektorium na późniejszą sekcję.

Tam spokojnie odczekałem, aż personel sobie pójdzie i czmychnąłem z umieralni w świat. Szybko

wmieszałem się w tłum i rozpłynałem w nim jak mleko na śniegu.

Później dowiedziałem się, że Mateusz, po długiej kuracji, doszedł mniej więcej do siebie. Zdołali mu wmówić, że wszystko, co zobaczył, było efektem działania narkotyków.

Ja zaś wyruszyłem w dalszą drogę. Ciekawe, dokąd teraz mnie zaprowadzi.

Elżbieta Barczyk

Pisarka, poetka, blogerka, bujająca w obłokach marzycielka, która pierwsze próby prozatorskie podejmowała już w szkole średniej. Autorka książek fantasy: *Idis. Na przekór czasom* i *Przewodnik dusz* oraz komedii kryminalnych: *Śledztwa na czwórkę z plusem* oraz *Ktoś tu ściemnia*.

Introwertyczka, ceniąca sobie spokój i długie spacery, podczas których przychodzą jej do głowy niezwykle historie.

Facebook: Elżbieta Barczyk- w krainie słów

Instagram: @ellabarczyk

Elżbieta Barczyk

Malarz dusz



Ten dom jest przesiąknięty złem. Osoby, które zmarły w jego skąpanych we krwi murach, zajmują większość kwater na miejscowym cmentarzu.

Już podczas budowy, ponad czterdzieści lat temu, doszło do tragicznych wypadków, w wyniku których śmierć poniosło trzech mężczyzn.

W niecały rok po wprowadzeniu się do niego pierwszego właściciela i jego rodziny wydarzyła się tragedia. W Wigilię pan domu chwycił za nóż i zadał swojej żonie kilkadziesiąt ciosów, po czym udał się do pokoi trzech córek. Po kolei poderżnął im gardła, a następnie popełnił samobójstwo, podcinając sobie żyły.

Policjanci, którzy przybyli na miejsce zbrodni, odkryli napisane krwią na ścianach obraźliwe słowa i satanistyczne symbole, co zmroziło okolicznych mieszkańców. Nie chcąc mieć do czynienia z tą jaskinią zła, trzymali się jak najdalej od tego przeklętego miejsca. To nie zmieniło się do dziś.

W jakiś czas po tragedii do domu wprowadził się krewny poprzedniego właściciela. Nie wierzył w przesady związane z tym miejscem ani w to, co czaiło się pod jego dachem.

Miesiąc później w jego sypialni wybuchł pożar, który strawił doszczętnie całe wnętrze. Co dziwne, inne pomieszczenia nie ucierpiały.

Gdy strażacy dotarli na miejsce, ogień już wygasł. Znaleźli na łóżku zwęglone zwłoki człowieka, który miał odwagę rzucić wyzwanie gnieźdzącemu się tutaj złu.

Od tamtej pory dom jeszcze wielokrotnie zmieniał właścicieli. Przez chwilę stał się nawet siedzibą krwawego kultu, ale wszyscy skończyli tak jak ich poprzednicy – w mahoniowej trumnie.

Przez dwadzieścia lat budynek stał pusty, ale ten stan rzeczy zmienił się osiem miesięcy temu. Wtedy to do miasta przybył pewien ekscentryczny malarz, który od pierwszego wejrzenia zakochał się w tej przeklętej budowli i kupił ją za bezcen. Wyłożył sporo grosza, aby nadawała się do zamieszkania.

Na początku sąsiedzi próbowali odwieść go od tej decyzji. Nie chcieli patrzeć, jak ten przeklęty obiekt pochłania kolejne życie, ale mężczyzna nie zmienił

zdania. Powiedział, że od dawna poszukiwał miejsca przesiąkniętego złą aurą krwi i rozpadu, a ten dom dał mu mnóstwo inspiracji. Odmówił wyjazdu i od tej pory mieszka tam razem ze starcem, który jest kimś między lokajem a gosposią.

Malarz jest widywany od czasu do czasu, gdy przechadza się po ogrodzie i nic nie wskazuje na to, aby w najbliższym czasie miał się wyprowadzić.

Ludzie mówią, że to dlatego, iż dom go zaakceptował.



Nigdy nie widziałem żadnego z jego obrazów, ale w gazecie napisali, że jeden z nich został ostatnio sprzedany za piętnaście milionów.

Tyle forsy, a on wziął dla siebie tylko część. Resztę przekazał na cele charytatywne.

Pyta pan, czy uważam go za dobrego człowieka, bo zrobił coś takiego? Sam nie wiem, ale ktoś o dobrym sercu nie mieszkałby w takim miejscu.

Trzyma się na uboczu, dlatego nikt nie wie, co tak naprawdę myśli, ani dlaczego przyjechał do tej zabitej deskami dziury.

Chce pan, aby pana namalował? To musi się pan ustawić w kolejce.

On maluje tylko pejzaże i martwą naturę, i rzadko wykonuje portrety, ale mimo to liczba osób, które

marzą, aby uwiecznić ich wizerunek na płótnie, stale rośnie.

Pyta pan dlaczego jest nazywany malarzem dusz? Nie wiem, co to dokładnie oznacza, ale określany jest tak podobno dlatego, że nie tworzy zwykłych portretów. On uwiecznia na płótnie duszę człowieka.

Nie wiem, czy to prawda, czy tylko takie głupie gadanie, ale jeden z jego klientów po zobaczeniu swojego portretu oszalał i rzucił się z mostu.

A może to po prostu вина tego domu...

Po tym wszystkim, co panu powiedziałem, nadal chce pan tam pójść? Dobrze, zaprowadzę pana.

Mam nadzieję, że szaleństwo nie jest zaraźliwe.



Malcolm był badaczem zjawisk nadprzyrodzonych. Przyjechał do tego niewielkiego miasteczka skuszony opowieścią o domu, w którym na przestrzeni lat doszło do wielu tajemniczych zgonów.

Specjalizował się w odwiedzaniu nawiedzonych miejsc i obalaniu ich mrocznych legend. Jak do tej pory zawsze udawało mu się znaleźć racjonalne wytłumaczenie zachodzących tam zjawisk.

I właśnie tutaj zamierzał zrobić to samo. Jego celem było udowodnienie, że w tym domu nie zagnieździła się złowroga obecność, a tragedie, które wydarzyły

się w jego ścianach – chociaż niezwykle krwawe – były tylko wynikiem splotu nieoczekiwanych okoliczności, pecha i napompowania atmosfery przez krążące po mieście plotki.

Gdy jednak dotarł na miejsce i porozmawiał z mieszkańcami, zmienił zdanie, bo zafascynowała go niezwykła postać malarza, który zamieszkiwał te przekłète mury.

Samo to, że mieszkał w domu okrytym złą sławą, było dość zastanawiające. Tchórzliwa ludzka natura i instynkt samozachowawczy oraz plotki powinny skutecznie go zniechęcić. Informacja o tym, że mężczyzna jest ociemniały, pobudziła jeszcze bardziej pragnienie zbadania tego fenomenu.

Nigdy nie słyszał o niewidomym malarzu, dlatego nie mógł się doczekać spotkania.

Pierwotnie przyjechał tutaj, aby zbadać „dom zła”, ale to już przestało się dla niego liczyć. Teraz skupiał się na osobie określanej mianem „malarza dusz”.

Zadzwonił do drzwi i przywołał na twarz uśmiechu. Był sam. Przewodnik, który zgodził się go zaprowadzić, uciekł, gdy tylko podeszli do budynku. Wymigał się ważnymi obowiązkami, ale trzęsące się ze strachu ciało go zdradziło. Nie chciał zbliżyć się do tego zakazanego miejsca.

Badacz powoli rozejrzał się dookoła. Na pierwszy rzut oka gmach nie sprawiał wrażenia przekłètego, a jeśli wierzyć plotkom, jego ściany były skąpane we krwi.

Przyszło mu do głowy, że być może była to zasługa mieszkających w nim osób. Zanim jednak zdążył

rozwinąć tę myśl, drzwi otworzyły się szeroko, a oczom Malcolma ukazał się ciemny korytarz. Zaintrygowany wszedł do środka i kiedy uważnie przyglądał się wnętrzu domu, zastanawiając się co zrobić dalej, z boku dobiegły go słowa:

– Mistrz jest w pracowni. Zapraszam.

Badacz wzdrygnął się. Spojrzał w stronę, z której dochodził głos i dostrzegł mężczyznę w trudnym do określenia wieku, ubranego w dobrze skrojony garnitur.

W korytarzu panował półmrok. Nagle wydało mu się dziwne, że nie zauważył tego człowieka wcześniej. Dlaczego miał wrażenie, że pojawił się znikąd? Odegnął od siebie nieprzyjemne myśli i ruszył za nim. Miał wiele pytań do zadania, ale gdy otwierał usta, nie mógł wykrztusić słowa. Każdy kolejny krok w głąb domu potęgował wrażenie gęstniejącej, złowrogiej atmosfery. Malcolm zwiedził kilkadziesiąt podobnych miejsc, ale po raz pierwszy poczuł strach. Narastała w nim chęć jak najszybszego wzięcia nóg za pas, ale jakaś tajemnicza siła nakazywała mu iść naprzód.

Lokaj otworzył drzwi na końcu korytarza i gestem zaprosił go do środka. To była pracownia malarska. Pełna farb i niedokończonych obrazów.

Przy sztaludze siedział młody mężczyzna z oczami przewiązanymi białym paskiem materiału, który wstał na dźwięk kroków.

– Witaj, Malcolmie – przywitał go uprzejmie.

– Skąd... – wyjąkał wstrząśnięty badacz.

– Skąd wiem, jak się nazywasz? Wszystko w swoim czasie – odpowiedział wykrętnie. – Jeśli chcesz zwieźć dom, Jacob cię oprowadzi.

Malarz wyglądał niegroźnie. Miał delikatne rysy twarzy i szczupłą sylwetkę, ale w jego postawie i zachowaniu było coś, czego badacz nie potrafił nazwać, a co wywoływało ciarki na plecach.

Malcolm nie słuchał tego, co mówił artysta. Myślał tylko o tym, aby jak najszybciej wydostać się z tego budynku. Nigdy coś takiego mu się nie przydarzyło. Miał wrażenie, że się dusi. Czuł, że jeśli stąd nie wyjdzie, to wydarzy się coś strasznego.

– A może jesteś tutaj, abym namalował twój portret? – zapytał malarz.

– Nie chciałbym się narzucać, bo podobno rzadko maluje pan ludzi.

– Nie wiem, od kogo to usłyszałeś, ale nie należy wierzyć plotkom. Nie ma się czego obawiać – dodał spokojnym tonem. – To nie potrwa długo. Zdążysz wrócić do domu, aby zjeść kolację z żoną i synem.

– W porządku – wymamrotał gość.

Badacz nie pytał o to, skąd mężczyzna znał fakty z jego życia. To nie było teraz ważne. Przybył tutaj, aby na własne oczy przekonać się, co potrafi niewidomy malarz.

Usiadł w wygodnym fotelu i nie spuszczał wzroku z mężczyzny za sztalugą. Z uwagą śledził ruchy pędzla, powoli sunącego po płótnie.

Każde pociągnięcie potęgowało ból w klatce piersiowej, tak jakby coś rozrywało go od środka, usilnie próbując wydostać się na zewnątrz.

Nigdy nie przeżył czegoś tak dotkliwego, a przy tym zaskakująco kojącego. Cierpienie, którego doświadczył, otworzyło mu oczy na zupełnie nowy świat. Wyzwoliło w nim emocje, które ukrywał w najgłębszych zakamarkach duszy.

– Gotowe. – Delikatny głos sprowadził go na ziemię. – Jak ci się podoba?

Jacob odwrócił sztalugę i oczom Malcolma ukazał się obraz, jakiego nigdy wcześniej nie widział.

To był on. To był zdecydowanie jego portret, ale wyglądał na nim zupełnie inaczej. Jak kompletnie inna osoba.

Na obrazie trzymał nóż, uśmiechał się szyderczo, a z jego oczu wзираło szaleństwo.

– Tak wygląda twoja dusza – wyjaśnił malarz. – Co o tym myślisz? Dobrze uchwyciłem podobieństwo? – zapytał nieśmiało.

Badacz zerwał się na równe nogi. Nie mógł tu dłużej zostać. Musiał jak najszybciej wrócić do domu.

– Muszę iść! – wykrzyknął i rzucił się do wyjścia.

– Jeszcze tu wrócisz – wyszeptał malarz, a na jego twarzy pojawił się przerażający uśmiech.



Malcolm wiedział, że musi to zrobić. Nieznany głos w jego głowie cały czas mówił mu, że dopiero gdy wyzwoli swój gniew, pozbędzie się zżerającej go od środka nienawiści i wyładuje zbyt długo skrywane frustracje, będzie naprawdę wolny.

Nie sądził, że gdy dojdzie do ładu ze swoimi emocjami, będzie odprężony. Nie spodziewał się, że podejmując decyzję, która zaważy na jego życiu, będzie czuł taki spokój.

To musiało stać się prędzej czy później. Był zaskoczony, że dopiero teraz o tym pomyślał.

Aby odzyskać kontrolę nad własnym życiem i mieć możliwość decydowania o sobie, musi pozbyć się przeszkód stojących mu na drodze.

To było takie proste. Dlaczego wcześniej nie wpadło mu to do głowy? Czemu znosił to wszystko i tolerował osoby zatruwające mu życie? Już dawno powinien wziąć sprawę we własne ręce i pozbyć się ich ze swojego otoczenia.

Badacz wszedł do domu i już od progu uderzył go zrzędlivy głos jego żony. Była w kuchni, głośno rozmawiała przez telefon z jedną ze swoich licznych przyjaciółek.

Kobieta, zajęta wylewaniem swoich żali, nie zauważyła powrotu męża, który z niepokojącym błyskiem w oku przysłuchiwał się rozmowie.

– Nie ma go. Znowu pojechał badać jakiś nawiedzony dom. Do tego na jakimś zadupiu. I jeszcze chciał, abym z nim pojechała. Jak kogoś może coś takiego kręcić. Nie śmiej się. Ty nie masz takich problemów. Twój mąż przynajmniej dobrze zarabia i ludzie go szanują. Mam dość tych uśmieszków i spojrzeń. Gdyby nie Max, już dawno bym go zostawiła. Tak, wiem, ale dziecko powinno mieć ojca. Poza tym, gdzie znajdę innego naiwniaka, który bez słowa sprzeciwu będzie wychowywał nie swojego bachora? Też myślę, że brakuje mu kilku klepek. Inny na jego miejscu już dawno by się zorientował...

Malcolm słuchał tego ze spokojem w sercu. Dawniej dałby się ponieść emocjom i doszłoby do karczemnej awantury, ale teraz nie miało to dla niego znaczenia. Od kiedy podjął decyzję, nic innego się nie liczyło.

Wszedł do kuchni i z szuflady wyjął długi nóż. Ten ruch sprawił, że kobieta w końcu dostrzegła jego obecność, ale jej zachowanie się nie zmieniło. Nawet nie ściszyła głosu, kiedy informowała koleżankę, że ten badacz od siedmiu boleści, z którego śmieją się wszyscy sąsiedzi, raczył wcześniej wrócić do domu.

– Jeśli jesteś głodny, zamów sobie pizzę. Nie mam czasu stać przy garach. Wychodzę – powiedziała kobieta, ale zanim zdążyła zrobić choćby jeden krok, padł cios.

A potem drugi i trzeci. Zaskoczona upadła na podłogę, krzycząc i błagając męża, aby się opamiętał i zostawił ją w spokoju.

Jej krzyki tylko podsyciły gniew Malcolma. Zadawał coraz szybsze i bardziej precyzyjne dźgnięcia, nie przestając

nawet wtedy, gdy ustały. Dopiero gdy kobieta przestała się ruszać, wyprostował się, aby z góry popatrzeć na swoje dzieło.

Czuł ogromną satysfakcję. Miał rację. To był najlepszy sposób na rozwiązanie problemów. Do tej pory nie miał odwagi, aby pozbyć się tej suki, która poniżała go, zdradzała i traktowała jak maszynkę do zarabiania pieniędzy. Dosyć tego. Od dziś rozpoczyna nowy rozdział swojego życia, ale zanim to nastąpi, musiał wyeliminować jeszcze jeden element.

Poszedł do pokoju syna i bez pukania wszedł do środka. Max siedział przy biurku ze słuchawkami na uszach i grał w jedną z tych swoich durnych, pełnych przemocy gier komputerowych. Wcześniej Malcolm wściekłby się, że chłopak marnuje swój czas na gry, zamiast zająć się czymś konstruktywnym, ale teraz już mu to nie przeszkadzało.

Podniósł zakrwawiony nóż i zamachnął się na syna. Cios trafił w ramię niczego niespodziewającego się nastolatka, który zerwał się z fotela. Był wyższy i silniejszy niż jego matka, ale dla owładniętego szałem zabijania mężczyzny nie stanowiło to przeszkody.

– Nauczę cię szacunku, gówniarzu! – wykrzyknął i kolejny raz dźgnął chłopaka.

– Tato, dlaczego to robisz?!

– Nie jestem twoim cholernym ojcem... – wyszczał.

Grad ciosów spadał na chłopca ze wszystkich stron. Badacz zupełnie stracił hamulce, bez opamiętania dźgając dziecko, które wychowywał i traktował jak syna

przez siedemnaście lat. Początkowo dzieciak próbował się bronić, ale był bez szans. Mógł tylko błagać i przepraszać ojca. Jego słowa nie przyniosły żadnego efektu. Po chwili osunął się na podłogę. Przerażony, wpatrywał się w mężczyznę, który spoglądał na niego z szaleństwem w oczach.

Malcolm spojrzał na to, czego dokonał, z szyderczym uśmiechem na ustach, a kiedy nastolatek wydał ostatnie tchnienie, z jego ust wyrwał się obłąkańczy śmiech.



Jestem przed domem, gdzie kilka godzin temu rozegrał się dramat. Znany i szanowany badacz zjawisk nadprzyrodzonych, autor kilku poczytnych książek, wielki znawca folkloru i językoznawca, Malcolm M., został aresztowany w związku z podejrzeniem o zabójstwo żony i syna. Za moimi plecami, jak sami państwo widzicie, nadal pracuje ekipa dochodzeniowo-śledcza. Z nieoficjalnych ustaleń wynika, że mężczyzna najpierw zabił żonę, zadając jej kilkadziesiąt ciosów nożem, a potem, w równie brutalny sposób, pozbawił życia nastoletniego syna. Jak na razie motywy działania sprawcy nie są znane...

– Mistrzu, obraz – dźwięk telewizora zagłuszył głos Jacoba.

Malarz odwrócił głowę w kierunku namalowanego przed zaledwie kilkoma godzinami portretu Malcolma, który wyglądał zupełnie inaczej niż tuż po ukończeniu.

Nadal przedstawiał jego dzisiejszego gościa, ale usta, poprzednio uśmiechające się szyderczo, teraz były szeroko otwarte w niemym krzyku. Z oczu, wypełnionych szaleństwem, płynęły krwawe łzy, żłobiąc głębokie bruzdy w zapadniętych policzkach. Z trzymanego w ręku noża kapłała krew.

– Mówiłem, że do mnie wrócisz – wyszeptał malarz.

Był „malarzem dusz”. Uwieczniał na płótnie ludzkie dusze. Te nieskazitelnie czyste i te przesiąknięte złem. A dzięki pradawnemu złu zamieszkującemu ten dom, mógł wydobyć z portretowanych osób ich najgorsze cechy i ujawnić ich prawdziwą naturę.

A kiedy farba zaschła, dusza sportretowanego człowieka zostawała z nim na zawsze.

– Odłóż go do pozostałych – poprosił.

Jacob ostrożnie podniósł obraz i zaniósł do sąsiadującego z pracownią pokoju. Oparł go o ścianę obok kilkudziesięciu innych obrazów przedstawiających wykrzywione w bólu twarze.